NUMER 17. WRZESIEŃ 1911. ROK III.



NA ZIEMI NASZEJ

R. MĘKICKI 1911

DODATEK LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

SUROWE ŻYCIE!

Surowe życie nas nie rozpieściło,
Nie żałowało kamieni i grudy —
Rozwiało mgłę niejednej cudnej złudy
I zawsze było tą okropną siłą,
Co udzielała nam losu tułaczy
I przepajała trucizną rozpaczy.

*

Surowe życie i losy surowe —
Serce się krwawi — potem kamienieje
I w nienawiści widzi swe nadzieje
I nienawiści szałem burzy głowę.

*

Idziemy naprzód — zawsze zapatrzeni
W palące widma okrwawionych cieni...
Idziemy naprzód pośród miotań burzy,
Pośród zgliszcz, ruin, pośród krwi kałuży...
Lecz póki żywi — nie zejdziem z tej drogi
I nie porzucim wiary w nasze bogi!

*

I chociaż często kajdanów muzyka
Przygrywa krokom polskiego pielgrzyma
I chociaż czasem do duszy przenika
Strach życia swemi strasznemi oczyma,
My nie porzucim wiary w nasze bogi
I póki żywi — nie zejdziem z tej drogi!

Kraków. *Jan Szymański.*

TRYNITARZE.

Jak błędny ognik przesuwa się w dziejach najsmutniejszych lat Rzeczypospolitej zakon, z odległych stron przybyły i na wschodnich jej krańcach w imię uczuć humanitarnych działający. Na krwawą ranę napadów tatarskich spadał jak drobna kropelka rosy i to wtedy dopiero, gdy rana ta przy samym końcu siedmnastego i w pierwszej połowie ośmnąstego wieku sama już ze siebie goić się poczynała. Trynitarze, hiszpański zakon dla wykupna niewolników z niewoli tureckiej i tatarskiej przyszedł do Polski w okresie kończących się już wojen tureckich, prawie w tej samej chwili, gdy słabnąca potęga państwa otomańskiego stanęła ramię w ramię z najlepszymi żywiołami Rzeczypospolitej przeciwko coraz to groźniejszej dla państw obydwu potędze rosyjskiej.

Działał tedy zakon trynitarski w Polsce, gdy już co raz mniej było do działania. Wykupywał niewolników, których już prawie nie było, robił dalekie i niebezpieczne wyprawy za zezwoleniem władz tureckich i opłatą bakczyszu zawsze chciwym urzędnikom Porty i resztki a niedobitki niedawnych masowych jassyrów prowadził uroczyście do Polski. I tak przez sto lat działał otoczony rzewną miłością i obfitą ofiarnością społeczeństwa, w którego pamięci żywo jeszcze tkwiły wszystkie okropności pogranicznego najazdu. Powszechna sympatja dla Trynitarzy była tem większa, że z wyjątkiem jednostkowych usiłowań nigdy Rzeczpospolita nie dbała i dbać już nie miała siły o los nieszczęsnego ludu jej, który szedł w łyka tatarskie lub tureckie.

Jakoż niewysłowionym urokiem przepojone są tych dzieje kilku Hiszpanów, którzy w imię swojego filantropijnego powołania przybyli pod zimne i chłodne niebo Polski i wnet stali się jej dobroczyńcami, niosąc radość w osierocone rodziny, wracając dzieciom ojca, rodzeństwu dawno utraconego brata, narodowi bezimienne niemowlęta w pogańskiej zrodzone niewoli. Sama Rzeczpospolita, która nigdy nie miała grosza na ubezpieczenie i obronę wschodnich swoich granic, znalazła dla mnichów otwartą kieszeń publiczną i prywatną. Ofiary na Trynitarzy sypały się tak hojnie, że starczyło ich nie tylko na wykupno jeńców, na utrzymanie samych zakonników, ale i na budowę wspaniałych kościołów i klasztorów, na zdobienie ołtarzy trynitarskich srebrem i złotem. Gdy się więc pomyśli ile i jakiego wojska możnaby było wystawić za te pieniądze na granicy kraju i z jakim honorem a rycerską sławą możnaby niem rozbijać swawolne kupy i bandy, nie dając żadnego jassyru, to ten epizod z Trynitarzami stanie się pełen głębokiego smutku i... wstydu.



Trynitarze.

I być może, że właśnie ten pierwiastek smutku pociągał tak bardzo historyków naszych do Trynitarzy, do ich niezwykłych koleji dziejowych, do pełnych romantyzmu i przygody wypraw w kraje mało znane, a zawsze dla polskiego ich sąsiada niebezpieczne. Karol Szajnocha poświęcił im piękny szkic historyczny, pisał o nich Kraszewski w Okruszynach, a i dawniejsza współczesna literatura drukowana o Trynitarzach jest wcale obfita. Ostatnio dla ich wspomnienia otworzyła swe łamy „Biblioteka lwowska“, wydawnictwo Towarzystwa miłośników przeszłości Lwowa — drukując w jednym z tomików swoich pracę p. Józefa Chołodeckiego, poświęconą historji zakonu trynitarskiego.

Bo główną siedzibą Trynitarzy, niejako ich metropolją był Lwów. W paszczęce tatarskiej położony, najbliższym był i najdogodniejszym punktem do wypraw dla wykupna niewolników i dlatego tutaj właśnie mieli Trynitarze aż dwa kościoły i tutaj też nasamprzód osiedli.

Trynitarzy sprowadził do Polski Jan Kazimierz Denhof, wówczas gdy jeszcze jako opat mogilski jechał do Rzymu dla złożenia papieżowi relacji o zwycięstwie Jana III. pod Wiedniem. Dnia 13. lipca 1685 stanęło już trzech zakonników hiszpańskiego pochodzenia we Lwowie. Ich kłopoty na gruncie lwowskim, który dla dalekich

przybyszów okazał się wcale niegościnnym i z największą trudnością tylko znalazł u siebie skrawek miejsca na pomieszczenie ich klasztoru i kościoła, stanowią bardzo ciekawy przyczynek do stosunku władz miejskich i lwowskiej społeczności wobec duchowieństwa klasztornego, które mnogością swoją, majętnościami i przywilejami zagrażało po prostu organizmowi miejskiemu.



Anna Wielhorska, fundatorka kościoła Trynitarzy we Lwowie (według współczesnego portretu).

Ostatecznie znalazło się miejsce dla Trynitarzy pod bramą krakowską, gdzie najpierw stanął kościół drewniany i kollegium, a potem w latach 1702—1731 wspaniały kościół murowany, którego późniejszem przeznaczeniem było służyć na pomieszczenie biblioteki uniwersyteckiej a obecnie cerkwi św. Ducha przy ul. Krakowskiej. Kościół ten powstał głównie dzięki ofiarności szlachty, wśród której rodzina Wielhorskich słusznie zasłużyła sobie za miano głównych fundatorów. W pamiętnym dla Lwowa roku 1848 został ów kościół, już jako biblioteka uniwersytecka zbombardowany i ówczesną jego ruinę przedstawia właśnie nasza rycina zaczerpnięta ze zbiorów Archiwum miejskiego.

Równocześnie u stóp „Kaliczej góry“ wzniósł się drugi kościół trynitarski pod wezwaniem św. Mikołaja. Fundatorem jego i głównym dobroczyńcą był Mikołaj Strzałkowski, podczaszy żydaczowski, którego portret tutaj w reprodukcji podany, do dnia dzisiejszego zdobi zakrystję kościelną. Kościół ukończony został w roku 1745, a dziś po kasacie zakonu przemieniony został w kościół parafialny.

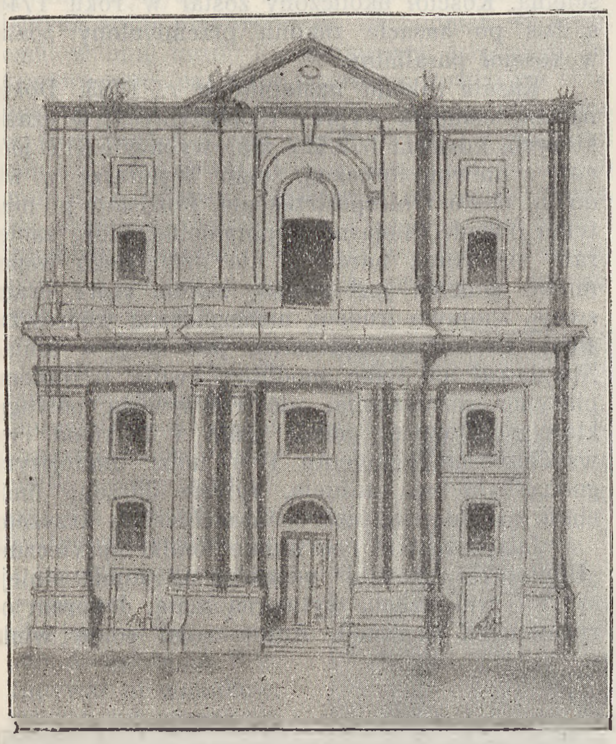
Kasata zakonu nastąpiła w r. 1783. Dokonawszy ośmastu wypraw redemcyjnych, w czasie których, kosztem 572.427 złp. wybawili 517 jeńców z niewoli tureckiej, zeszli Trynitarze z widowni cicho i niespostrzeżenie. Pozostało po nich tylko odległe, niejasne wspomnienie, które zacierało się coraz bardziej. Ale dziejowego wspominku godzien jest zawsze zakon, który pracą swoją, znojnym trudem, niebezpieczną wędrówką, służył swemu społeczeństwu jak mógł i umiał. Nie dawał mu tylko modlitwę swoją i kontemplacyjne rozmyślania, ale rzeczywistą posługę, która z dziejowej oddali mała i znikoma, we współczesnem pokoleniu i u ludzi tamtejszych godna była tego uczucia, którem darzono mnichów ozdobionych czerwono-niebieskim krzyżem.

Jak wszystkie poprzednie tomiki pożytecznej „Biblioteki lwowskiej“ odznacza się i tomik niniejszy o Trynitarzach, wytworną szatą, doborem oryginalnych ilustracji. Autor zadał sobie wiele



Mikołaj Strzałkowski, fundator kościoła św. Mikołaja we Lwowie (według portretu w zakrystji kościelnej).

trudu i opanował wszechstronnie stojący mu do dyspozycji materjał, pomieszczając ponadto przy końcu pięknego dziełka imienne spisy uwolnionych przez Trynitarzy jeńcow.



Widok fasady kościoła trynitarskiego przy ul. Krakowskiej, (po bombardacji w r. 1848).

PIERŚCIENIE HISTORYCZNE.

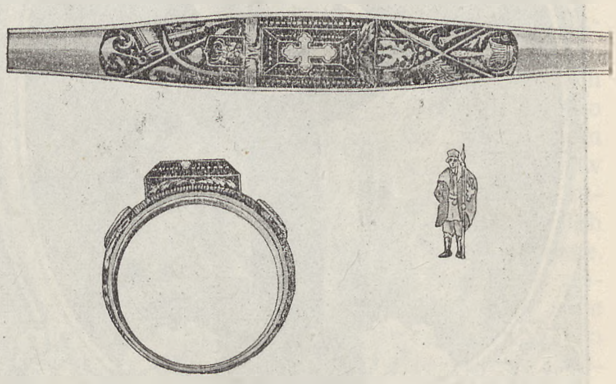
(Ciąg dalszy).

Polska w okowach.

Z wyjątkiem nieszczęsnej republiki krakowskiej, nie stało w całej Polsce po upadku powstania listopadowego, ani piędzi wolnej ziemi. Znikły ostatnie szczątki politycznego bytu, zagasło życie i myśl Warszawy, ucichł szczęk polskiego oręża. Stała się Polska „ziemią mogił i krzyżów“ — przywarto nad nią wieko trumny, a pod niem wszystkie spoczęły nadzieje, pragnienia, bohaterskie porywy.

Spoczął w trumnie i ułan polski i bitny kosynier śniąc o dawnym boju i dawnej chwale. Ale w tym śnie strudzonym, w tej ciszy cmentarnej, pod grobowym kamieniem zawsze był czujny na chwilę zmartwychwstania, zawsze gotów wieko trumny unieść i na bój skoczyć, pod orła białego sztandarem:

65. Pierścień złoty, czarno emaliowany, z wyobrażeniem wieka trumny, ozdobionej biało emaliowanym krzyżem i trupią główką z piszczelami. Po obu bokach trumny Orzeł i Pogoń, oraz armatura: sztandar z napisem: 1830, kosa, siekiera, trąbka bojowa i kask ułański po jednej, zaś szabla, pika, bagnet, pistolet, lufa armatnia i kotwica jako symbol nadziei, po stronie drugiej. Za pociśnięciem mechanizmu podnosi się wieko trumny, z której wyskakuje kosynier ze sztandarem Orła białego.



Wł. p. Heleny z Budzynowskich Dąbczańskiej we Lwowie.

Pierścień podobny, z wyobrażeniem jednak ułana polskiego unoszącego się z trumny, był w posiadaniu p. Marji Kurnatowskiej w Krakowie.

Ta sama nadzieja, że powstaną kiedyś spiący rycerze i nie zginie hartowny duch męczenników — ożywiała i tych, którzy nosili pierścionki z kajdan Szymona Konarskiego.

Powiedział o nim prezes sądu rosyjskiego kniaź Trubeckoj: „to żelazny człowiek, olbrzymi hart i potężny charakter“; na zapewnienie Dołgorukowa, że w gubernji wileńskiej spokój panuje, odparł Mikołaj I: — a Konarski? Jego imię płoszyło sen z oczy najeźdźców, a jego działalność w Krakowie, w Galicji na Wołyniu i Litwie, praca budząca lud wiejski dla rewolucji i powstania, tak była szeroka, jak dziś są ramy Polski nowożytnej.

Powiedziano o nim pięknie*): Miłość jaką miał do ludzi zachowała w Polsce imię Konarskiego i wyryła je silniej w pamięci Polaków, niżby to uczynić umiała historja, która nie chciała zająć się socjanym rewolucjonistą i pozwalała, że Konarski stawał się coraz bardziej legendarną postacią“. Ale mężem legendarnym ze spiskowego podziemia idącym na świat, między lud wiejski

*) St. Szpotański: Konarszczyzna. Kraków. str. 79.

był Szymon Konarski już za życia i był nim w chwili śmierci swojej w dniu 29. lutego 1839. Kiedy bowiem za trocką bramą, na oczach całego Wilna go roztrzelano, krzyk i płacz wstrząsnął tłumami — jeden olbrzymi, przeciągły jęk, który powtórzył się w całej Polsce; kiedy przeszyty 5 kulami zwisł na słupie, tłum przerwał łańcuch żołnierzy i rwał kawałki odzieży na pamiątkę, maczał chustki we krwi męczennika.

Trupa zakopano pod słupem razem z kajdanami. Nawet na drogę wieczności nie zdjęto okowów z ducha wolnego. Dopiero wieczorem za sprawą Antoniny Śniadeckiej wykopano zwłoki i pochowano je na cmentarzu kalwińskim. Ze zdjętych z trupa kajdan, kazała Śniadecka zrobić 82 obrączki, które rozdała na pamiątkę*).

Kilka odmian tych obrączek znamy:

66. Pierścień żelazny z trzema okrągłymi medalionikami, na których pośrodku kwiat róży (en relief) a na dwu bocznych symbol męczeństwa, lilia.

P. Michał Federowski w Warszawie.

67. Takiż, ale odwrotnie, to jest na medalioniku środkowym lilia, po bokach róże.

P. Michał Federowski w Warszawie.

68. Pierścień żelazny z jednym tylko medalionikiem, na którym róża w płaskorzeźbie.

P. Michał Federowski w Warszawie.

69. Pierścień złoty z tarczą, dokoła opasany tasiemeczką żelazną, na której medalioniki z różami.

Muzeum narodowe w Krakowie.

70. Pierścień żelazny duży, w kształcie sygnetu ze złotą tarczą, wewnątrz złotem wyłożony. Pod tarczą na stronie wewnętrznej litery A. W. Zrobiony według tradycji z kajdan Szymona Konarskiego.

Muzeum narodowe polskie w Rapperswilu.

71. Pierścień żelazny w kształcie łuskowego węża, opasany na złotej obrączce. Zrobiony według tradycji z kajdan Szymona Konarskiego.

Muzeum narodowe polskie w Rapperswilu.

Wszystkie odmiany pierścieni, zrobionych z kajdan Szymona Konarskiego posiada p. Artur Opman (Or-ot) i mecenas Stanisław Patek w Warszawie. P. Michał Federowski, któremu zawdzięczamy powyższe informacje opowiada na podstawie tradycji wileńskiej, usłyszanej od śp. Tomaszowej Zanowej, że pierścienie te miał wyrabiać w Wilnie pewien ślusarz czy kowal. Ostrzeżony jednak przed grożącą rewizją, cały ich zapas wrzucił w nurty Wilejki. Wogóle są one rzadkie, nawet na Litwie, a w Kongresówce prawie całkiem nie znane.

Piękne wspomnienie o pierścionkach Konarskiego podał także dr. Cezary Staniewicz*).

„W czterdziestych latach XIX w. i później nie mało osób inteligentnych nosiło obrączki żelazne (stalowe). Gdy zapytałem mych rodziców, dlaczego noszą te obrączki, a nie złote, albo srebrne, ojciec na to mi odpowiedział, że obrączki żelazne noszą z powodu stracenia Szymona Konarskiego, wielkiego poety idealisty, w roku 1839.

Nie rozumiejąc dobrze, co znaczy „stracenie“ (miałem wówczas piąty rok) powiedziałem rodzicom, że być może przy pomocy Bożej znajdzie się stracony, na co usłyszałem lakoniczną odpowiedź mego ojca: „tak zapewne znajdzie się, a tymczasem trzeba modlić się za spokój jego duszy“.

W trzy lata przed śmiercią Konarskiego gasła na dalekiej słonecznej obczyźnie jedna z najgorętszych i najszlachetniejszych dusz Polski ujarzmionej, Klaudyna z Działyńskich Potocka. „Ta kobieta — powiedział Mickiewicz — godzi z rodzajem ludzkim i może natchnąć znowu wiarą w cnotę i dobroć na ziemi“. Młoda ta kobieta — mówi historyk emigracji, Lubomir Gadon — wątłej postaci, a wielkiego serca, jak była aniołem opiekuńczym rannych i chorych w Warszawie i Modlinie, tak na emigracji stała się niestrudzoną w niesieniu ulgi i pomocy wygnańcom! To też imię jej za życia było otoczone rzewnem uwielbieniem, a błogosławili je poeci jak Odyniec, Wincenty Pol, Stefan Garczyński, Klementyna Hoffmanowa, aureolą legendarnej świętości otaczali wygnańce, a ona tymczasem jakby pożerana miłością ludzi i ojczyzny, gasła powoli...

Aż zgasła 8 czerwca 1836 w Genewie i wygnańcom stało się „nagle smutniej na świecie“ Mickiewicz pisał do Dawida d'Angers: „Znałeś ją — wiesz wielkość naszej straty“ — a zaraz po pogrzebie czcicielom jej cnot rozdano pamiątkowe pierścienie:

---

*) Adam Ka owicz: O Szymonie Konarskim. Dziennik wileński r. 1907 nr. 135.

*) D . Med. Ceza y Staniewicz: W powiecie trockim 1840—1849. Dziennik wileński r. 1906 nr. 48.

72. Pierścień z napisem: *Klaudyno módl się za nami.*

O pierścieniach tych wspomina Aleksander Kraushar w życiorysie Potockiej*) napis zaś wziął Wincenty Pol, jako motto wiersza „Wieniec z piołunu“ poświęconego pamięci zmarłej, w którym to wierszu woła**):

„Odwróć odemnie ten kielich goryczy!
„Bo któż sierocie łzy z oczu osuszy,
„Kiedy nie stało istoty dziewiczej
„Co jak duch Boży czyta w naszej duszy?
„Co to pragnęła wszystkie bole koić
„I wszystkie rany narodu zagoić.
„Wszystkie ku sobie przygarnąć boleści
„I w jednej piersi pomieścić niewieściej...

Ze sfer emigracyjnych, a może też z czasów przeniesienia zwłok Adama Mickiewicza na Wawel pochodzi następujący:

73. Pierścień złoty z dwu drutów w sznurek skręconych, z tarczą na której popiersie Adama Mickiewicza.

Muzeum narodowe w Krakowie

Istnieje francuska litografia Engenmana przedstawiająca mężczyznę bosego i w łachmanach, na tle kopalni sybirskich, trzymającego w ręce piszczel ludzki, zakowany w kajdany. Z podpisu okazuje się, że ten nędzarz, to największy magnat polski, ordynat na niezmierzonych dobrach i książę, Roman Sanguszko. Syn słynnego mowcy z czasów Sejmu wielkiego i towarzysza Kościuszki pod Szczekocinami, rzucił Roman Sanguszko na cele powstania listopadowego olbrzymi swój majątek i własną osobę. Po skończonej wojnie kazał car Mikołaj usprawiedliwić się Sanguszce dlaczego wziął udział w powstaniu. Na to on z prawdziwie magnacką, a tak rzadką po rozbiorze Polski dumą, odparł krótko: „Z przekonania“.

I odtąd słowo to stało się dewizą rodu ordynatów na Sławucie, ale sam Roman Sanguszko skazany na zesłanie i do ciężkich robót pieszo popędzony został na Sybir a później na Kaukaz, zostawiając bliższym sobie osobom i znękanemu narodowi wspomnienie niezłomnego hartu duszy. Wspomnienie to znalazło swoje echo i na pierścionkach.

74. Obrączka srebrna, wewnątrz pozłocona z napisem: *Z przekonania. Roman Sanguszko.*

Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie.

C. d. n. *Fr. Jaw.*

**) Album zasłużonych Polaków i Polek. Petersburg t. I.

***) Z rękopisu ze zb. p. Bolesława Wysłoucha.

ARCHIWUM I MUZEUM W PRZEMYŚLU.

Jako bardzo dodatni i pocieszający objaw w życiu galicyjskich miast prowincjonalnych uważać należy wzrost liczby muzeów i zbiorów lokalnych. Powstają tedy muzea djecezjalne, tu i ówdzie nawet i miejskie; kilka zbiorów etnograficznych gromadzi już skrzętnie zabytki ludowe z najbliższych okolic, gdzieniegdzie wreszcie towarzystwa oświatowe lub Koła Towarzystwa Szkoły ludowej przechowują obok swoich bibliotek i czytelń to, co z dawnych wieków zostało, a na niechybną było skazane zagładę.

W tym ruchu kulturalnym w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu, w tych usiłowaniach zmierzających do zachowania dawnego charakteru ziemi naszej, nie pozostał i Przemyśl w tyle. Tylko, że od Przemyślą żądać musimy daleko więcej, aniżeli od innych miast. Gród, który tak wielką a poważną rolę w dziejach odegrał, jako stolica ongi udzielnego księstwa, a potem bogatej w ludzi i w zboże ziemi — gród prastary, a pełnią nowego życia i rozwoju rwący ku świetnej przyszłości — to miasto po obu stolicach pierwsze w kraju, wielkie ma obowiązki wobec własnej przeszłości. A ta przesławna krwią i wojną, pracą i znojem, kościołem i modlitwą pisana przeszłość jest najlepszem prawem jego dnia dzisiejszego, fundamentem jego polskiego charakteru, ostoją przyszłości.

Ale przeszłości nie wiele już śladów zostało w Przemyślu. Kościoły, a wśród nich prastara katedra z kilku zaledwie okruchami dawnej sztuki, ruiny zamku, kilka starych kamienic w rynku, to może i wszystko. Opowiada o niej jeszcze pomnik gwardjana Krystyna Szykowskiego koło Reformatów, trochę książek, wśród których najlepsza dotąd Leopolda Hausera „Monografja Przemyśla“ — prawi wreszcie, choć nikt prawie głosu jego słuchać niechce... Archiwum miejskie.

Nikt zaś słuchać nie chce tego, co z swych pożółkłych kart Archiwum miejskie wypowie, głównie dla tego, że głos jego majestatyczny i poważny dziwnej w dniach dzisiejszych doznaje turbacji. Spiewka pijanicy, prowadzonego do aresztów miejskich dla wytrzeźwienia, głośniejszą jest od mowy pergaminowych dokumentów, wyzwiska „wesołych cór Koryntu“, klątwy szupaśników, gwar szumowin miejskich z poza krat aresztu, wszystko to do cna przygłusza dziejowe odgłosy Przemyśla. Bo archiwum przemyskie pomieszczone jest obecnie w bezpośredniem sąsiedztwie aresztów miejskich, tuż obok smętnego i ciemnego podwórka, gdzie okna zakratowane a z poza krat rozczochrane, nędzne wyglądają głowy społecznych parjasów.

Nie wiele też od aresztów lepszą jest izdebka, z małą antykamerą, gdzie mieszczą się skarby historji Przemyśla. Wilgoć tam pełznie

po ścianach wysoko, pełno jej w powietrzu, a stęchły powiew owionął nagromadzone w szafach księgi, dokumenty, akta. To co pięć wieków przetrwało szczęśliwie — dzisiaj butwieje do znaku...

Pośród archiwów miast polskich, jest archiwum przemyskie prawdziwą perłą. Nieprzerwana ciągłość ksiąg, mnogość dokumentów i aktów pozwoliłyby, jak rzadko gdzie, odsłonić dzieje Przemyśla i jego życie we wszystkich przejawach, z mnogich stron ludzkich stosunków. Gdyby tąk przejrzeć niniejsze archiwum i dobyć z niego wszystko, co tylko można ku nauce i na dobry przykład dzisiejszemu pokoleniu, to by powstał obraz piękny jak rzadko, ciekawy obraz grodu, co od wieku przednim był w całej Rzeczypospolitej.

Przemyskie księgi zapisów miejskich (*libri resignationum)* rozpoczynają się od roku 1402 i ciągną się nieprzerwanie przez cały wiek XV. i dalej księga za księgą, że ani jednego roku nie braknie. Mało które archiwum poszczycić się może tak obfitym materjałem średniowiecznym. We Lwowie, w tutejszem archiwum wiek XV. reprezentowany jest z wielkiemi lukami tak, że z wyjątkiem najstarszej księgi, sięgającej początkiem swoim roku 1380, jedna tylko dochowała się tutaj księga wpisów z czasów Władysława Warneńczyka.

Odsyłając ciekawych bogatej treści archiwum przemyskiego do wspomnianej wyżej monografji Leopolda Hausera, gdzie archiwum to jest szczegółowo opisane i do rękopiśmiennego inwentarza sporządzonego przez p. Mieczysława Błażowskiego zaznaczyć należy, że pierwszorzędnym jest interesem nauki, aby księgi powyższe z XV. wieku, co rychlej drukiem zostały ogłoszone. Ich zaś ogłoszenie ciąży obywatelskim obowiązkiem na gminie miasta Przemyśla, względnie jego radzie miejskiej, która — z uznaniem to podnieść należy — oddawna czyni co tylko w danych warunkach jest możliwe, aby archiwum to uprzystępnić pracownikom na polu naukowem. Przypominamy tu tylko ochotne zezwolenie na wydrukowanie znacznej części dokumentów pergaminowych w wydawnictwie „Aktów grodzkich i ziemskich“ wystawienie ich w czasie odbytej w r. 1903 we Lwowie wystawy zabytków cechowych, energiczne starania u władz sądowych, co do zwrotu zabranych przez sąd ksiąg ławniczych, zamianowanie ostatnio prof. dra Troskolańskiego ich kustoszem i t. d.

Mimo to jednak obecne pomieszczenie archiwum przemyskiego urąga najprymitywniejszym wymogom, stanowisko dra Troskolańskiego nieokreślone statutowo ani regulaminowo, z obowiązkiem raczej ścierania kurzu aniżeli pracy naukowej, domaga się jak najszybszego ustalenia, a wilgoć w izdebce archiwalnej jest po prostu przestępstwem, domagającem się ingerencji Grona konserwatorów. Przy dobrej woli i popuszczeniu nieco, skąpego na takie rzeczy, mieszka gminnego, wszystko to da się bardzo łatwo naprawić, a potem naprawdę sam Przemyśl zobaczy jakie skarby posiada u siebie i jakie osobliwości i zobaczy, że nie tylko co do liczby mieszkańców i wielkości konsystującego w nim garnizonu godzien jest stanąć w rzędzie największych miast galicyjskich.

I jeżeli dzisiaj archiwum przemyskie jest w stanie martwym, jeżeli się nie powiększa, to tylko z powodu wyżej opisanych stosunków. Dobrze rozmieszczone i uporządkowane, ściągnąć by mogło ku sobie niszczejące w stowarzyszeniach przemysłowych zabytki cechowe i w rękach prywatnych pamiątki, pomieścić by w sobie mogło bezlik aktów, niewyszkartowanych jeszcze z registratury, a roświetlających nowsze dzieje i rozwój Przemyśla. Przedewszystkiem zaś zebranie zabytków cechowych powinno być celem usilnych zabiegów tak zarządu miasta, jak i archiwarjusza. Dotychczas obok pewnej liczby dokumentów cechowych posiada archiwum przemyskie bardzo ciekawe i cenne obesłania (cechy) jak krawców z r. 1689, kuśnierzy i białoskórników z r. 1691, bednarzy, stolarzy, cieśli i kołodziejów, jedno mosiężne z roku 1637 i drugie drewniane z r. 1738 a wreszcie mieczników, zegarmistrzów, kowali i ślusarzy już z czasów austrjackich.

Co jednak bardzo niemile uderza w archiwum przemyskiem, to brak jakiejkolwiek biblioteki. Dzisiaj trudno już sobie wyobrazić jakikolwiek zbiór aktów dziejowych bez podręcznej biblioteki, która jest fundamentem pracy archiwalnej. Tymczasem w Przemyślu, obok monografji Hausera i kilku innych książek jak szematyzmów, z wyjątkiem kosztownego, a zupełnie niepotrzebnego jakiegoś tomu wydawnictwa jubileuszowego wiedeńskiego, nie ma nic zupełnie. Nawet to, co dotychczas wyszło w druku o Przemyślu nie jest zebrane. Wprawdzie biblioteka to rzecz kosztowna, a jej umiejętne zebranie sporo wymaga trudów i zachodu, ale nie trzeba zapominać, że Towarzystwo dla popierania nauki polskiej we Lwowie pod przewodnictwem prof. dra Balzera aż się doprasza, aby przynajmniej większe miasta prowincjonalne zechciały przyjąć biblioteki publiczne, naukowe, mające być rozsadnikami kultury. Dotychczas podobno nie zgłosiło się ani jedno miasto, chętne biblioteki, a olbrzymie, przez prof. Balzera skrzętnie gromadzone zapasy książek marnieją bez użytku. Niechby tylko Przemyśl jako największe z miast prowincjonalnych zrobił początek, zgłosił się do Towarzystwa dla popierania nauki polskiej, a z pewnością przyszedłby rychło do posiadania biblioteki, która by jego archiwum postawiła odrazu na wysokim poziomie naukowym.

A Przemyśl posiada aspiracje naukowe. Moc zakładów średnich, chęć stworzenia ekspozytury wydziału prawnego uniwersyteckiego, wielka liczba młodzieży akademickiej w mieście przebywającej, profesorowie, nauczyciele i t. d. wszystko to domaga się większej biblioteki publicznej, o wyższym poziomie naukowym, która by się stać

mogła jednem z ognisk ruchu kulturalnego, a przy tak zasobnem archiwum instytucją, przynoszącą wielką i istotną korzyść nauce polskiej.

Dowodem potrzeby takiej instytucji jest niedawno w Przemyślu założone Towarzystwo przyjaciół nauk. Mimo więcej niż skromnych środków, braku fachowego kierownictwa i środków pomocniczych, poszczycić się może Towarzystwo zbiorami, które już dzisiaj umieszczone w trzech ubikacjach rokują nadzieję, że kiedyś dojdą do istotnej wartości naukowej. Na razie jeszcze jest to prawdziwy lamus mniej lub więcej ciekawych przedmiotów, zebranych drogą darów, wśród których wyróżniają się mnogością i większą wartością wykopaliska przedhistoryczne z powiatów łańcuckiego i przeworskiego ofiarowane przez p. Dworskiego, nauczyciela ludowego z tamtych stron. Są to przeważnie urny, niektóre znacznej wielkości, inne ornamentowane, wiele z nich wreszcie zawiera szczątki kości etc. z którymi zostały wykopane. Razem z innymi zabytkami przedhistorycznemi, stanowią zbiory p. Dworskiego poważny zawiązek działu muzealnego, który już obecnie domaga się naukowego uporządkowania i skatalogowania.

Po za prehistorją, w której wspomnieć jeszcze wypada o bardzo ciekawym i niezwykłych kształtów toporku miedzianym, wykopanym w pobliżu Pistynia — zawiera muzeum przemyskie nieco starych monet, dokumentów i aktów (dokumenta rodzinne Romerów, księgi cechowe z Radymna) pieczęci, pierścieni, zabytków kościelnych (renesansowe ampułki z kościoła w Dukli) niezwykły medalion z głową meduzy i greckim napisem (t. zw. na Ukrainie „żmijewyk“), znaleziony w pobliżu Przemyśla, czako lwowskiej gwardji narodowej z r. 1848, ciekawe jako wyrób zdunów przemyskich dzbany, które zdobiły niegdyś filary bramy do pałacu biskupiego i t. d.

Wszystko to razem jest bardzo ubogie, zbierane dorywczo, bez planu i środków materjalnych, ale świadczy przedewszystkiem o dobrych chęciach inicjatorów i wydziału młodego Towarzystwa i rokuje piękne nadzieje na przyszłość.

A teraz, reasumując poprzednie uwagi, trzeba się zastanowić, co powinien zrobić Przemyśl teraźniejszy, dla swojej przeszłości. Zacząć powinien od przeniesienia archiwum swojego do suchego, widnego i obszerniejszego lokalu i oddania pieczy nad nim człowiekowi fachowemu, którego ma zresztą pod ręką w osobie dra Troskolańskiego. Dążyć dalej winna gmina przemyska do utworzenia przy archiwum biblioteki publicznej o wyższym poziomie naukowym, która by z jednej strony ułatwiła studja w samem archiwum, z drugiej zaś stała się ogniskiem kulturalnem dla miejscowej inteligencji, a wreszcie przystąpić do wydawnictwa najstarszych ksiąg.

Po dokonaniu zaś tego, należałoby dążyć do dalszego zwiększania archiwum tak przez gromadzenie druków, obrazów, fotografji, planów odnoszących się do Przemyśla, jak też przez włączenie do niego zabytków cechowych i aktów dawniejszej registratury, posiadających ogólniejsze dla miasta znaczenie.

Fr. Jaw.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

B. Janusz. Z paleoantropologii Galicji wschodniej. Warszawa 1911. Dzieje przedhistoryczne nie nadają się bardzo do celów popularyzacyjnych. Fachowi uczeni w tym kierunku nie lubią wyciągać dalej idących wniosków ze szczupłego, stojącego im do dyspozycji materjału, dla innych pisarzy nie przedstawia prehistorja ani barwy ani większego interesu. Długie okresy przedhistoryczne. zagadkowość wykopalisk, brak poszanowania dla nich, umiejętnego ich traktowania, brak wreszcie środków i chętnych pracowników, są przyczyną, że przedhistoryczne dzieje specjalnie kraju naszego, o ile już z natury rzeczy osłonięte są ciemnością nie do przebycia, o tyle nawet na podstawie wiadomych faktów nie są należycie dla trochę szerszych kół rozjaśnione.

Z tem większą przeto ciekawością braliśmy do rąk nie wielkie rozmiarami dziełko p. Janusza, które na podstawie znanego dotąd materjału, pokusiło się o to, ażeby rzucić przynajmniej snop światła na czasy, oddzielone od nas dziesiątkami tysięcy lat. Jakoż istotnie autor, wielki zapaleniec na punkcie przedhistorycznych badań i mający już za sobą sporo prac w tym kierunku, ciekawość tę w miarę możności zaspokaja.

Czytamy tedy w książeczce, że najdawniejsza ludność ziemi podkarpackiej sięga okresu kultury, zwanego neolitycznym, w którym pod Krakowem człowiek zamieszkał poraz pierwszy w licznych jaskiniach Ojcowa i okolicy, stanowiąc pierwszą i najdawniejszą ludność kraju. We wschodniej części Galicji osiadł on nieco później i jak sądzić można, nie był wcale z pokrewniony z jaskiniowcem podkrakowskim. Kiedy bowiem kultura ludności, zamieszkującej ziemie na zachód od Sanu, opierała się najwidoczniej o zachód, to pierwiastki kultury ludu, osiedlonego na wschód od tej rzeki, wywodziły początki swe z wprost przeciwnego środowiska.

Przedhistoryczna ludność Galicji wschodniej zgrupowaną była na części kraju, ujętej lewym brzegiem Dniestru i prawym dopływie jego Zbrucza. Na podstawie znanych dotychczas, a rozkopanych cmentarzysk, szeroko w książeczce omówionych, stwierdził autor, że w okresie, o którym mowa panująca w tych miejscach przez wszystkie epoki przedhistoryczne była rasa długogłowa, która niemal do ostatnich wieków przedhistorycznych wyłącznie mieszkała w Galicji wschodniej. Dopiero krótkogłowi Słowianie wyparli ich stąd swoją masą, lub też zajęli poprzednio przez nich własnowolnie opuszczone ziemie podkarpackie.

Praca p. Janusza, oparta na materjale naukowym napisana też jest ściśle i rzeczowo.

F. J.

Z Drukarni Polskiej. Za redakcję odpowiedzialny Fr. Jaworski. Nakładem »Kurjera Lwowskiego«.